



MARTA MOEGLICH

ŚMIERĆ
I BELGIJSKA CZEKOLADA

FILIA

MARTA MOEGLICH

ŚMIERĆ
I BELGIJSKA CZEKOLADA

FILIA

*Dla wszystkich kobiet, które myślą, że nie mogą.
Możemy.*

PONIEDZIAŁEK

Rozdział 1

Marta Kuleczka spełniła marzenia, ale teraz zmagą się z ich konsekwencjami. Czytała ostatnio o procesie wazektomii. Jądra nie przestają produkować nowych plemników, ale Martę ciekawiło, co się z nimi dzieje, jeśli w wyniku przerwane go nasieniowodu nie mogą się przedostać dalej. Otóż po pewnym czasie po prostu znikają. Marta czuła się jak plemnik uwięziony w jądrze. Stworzona do wielkich rzeczy, ale pomału znikająca.

Fakt, że czytała ostatnio dużo różnych treści, bo od kąd pół roku temu przeprowadziła się wraz z rodziną do Belgii, dysponowała sporą ilością wolnego czasu. Od zawsze też tak miała, że gdy zaciekała ją jedna rzecz, jej mózg nie odpuszczał, dopóki nie dowiedział się wszystkiego, co możliwe, na dany temat. Błogosławiony internet z jego zakątkami, który pozwalał robić Marcie niemal doktorat z przypadkowych rzeczy.

Chwile, w których nie była mamą na pełen etat, bo dzieci znajdowały się w szkole, upływały jej na nudnych obowiązkach domowych. Urozmaicała je słuchaniem podcastów *true crime*. Szorowanie kabiny prysznicowej nabierało innego znaczenia, gdy towarzyszył mu mniej lub bardziej makabryczny opis zwłok młodej kobiety. Czytała też, dlaczego to przeważnie jest kobieta, i wnioski z lektury nie świadczą najlepiej o mężczyznach. Nie wszystkich, oczywiście.

Dziś jednak nie chciała słuchać podcastów. Od dwóch godzin siedziała w ogrodzie botanicznym, do którego przysła z solennym postanowieniem nauki języka niderlandzkiego. Wypadałoby już zacząć mówić więcej niż tylko „dzień dobry” i „dziękuję”. Aplikacja do nauki języków nie ułatwiała sprawy, z niejasnych dla niej powodów jednym z pierwszych słówek, które program podsuwa do nauczenia się, jest: „żółw”, „gazeta” albo „nosorożec”. Dzięki temu w dalszej kolejności mogła ćwiczyć takie konstrukcje gramatyczne jak „Żółw nie mówi po niderlandzku”. Co akurat pokrywało się ze zdolnościami językowymi Marty Kuleczki. Tym razem poczuła silną więź z powolnym gadem. Płatanina myśli i wątków w jej głowie poszybowała niebezpiecznie w stronę poszukania informacji o tych stworzeniach.

Zdawała sobie sprawę, że wszystkie te zabiegi służyły zwykłej prokrastynacji i miały odciągać ją od nauki języka. W nowym państwie złośliwie niewiele osób zna polski. Zatem to ona, jeżeli chciała ruszyć z miejsca z innymi

życiowymi kwestiami, musiała nauczyć się wydawać z siebie te gardłowe chrobotania i gulgotania, które oficjalnie nazywają się językiem niderlandzkim.

Tylko czy tak naprawdę chciała ruszać z miejsca? Na razie czas półrocznego zawieszenia pomiędzy burzliwymi wydarzeniami ostatnich lat i leniwymi tygodniami upływającymi jej w tym spokojnym mieście był dla niej cudowny. Rozkoszowała się brakiem napięcia i tym, że nie musi podejmować już żadnych ważnych decyzji. Spokój, stagnacja, powolne życie. Wynagrodzenie rodzinie tego, przez co musiała przejść z powodu jej złych wyborów i bezmyślności.

Twarde części ławki, na której siedziała, wbijały się w ciało, co sprawiło, że Marta porzuciła rozmyślenia o własnym losie i wróciła do rzeczywistości. Czas zbierać się do domu. Wstała z ulgą i lekko się krzywiąc przy rozprostowaniu kości, najpierw spojrzała na swoje blade nogi w Inianych szortach, po czym strzepnęła z nich resztki zjedzonej kanapki, a potem rozejrzała się dookoła.

Pieprzona sielanka z brokatem, pomyślała z zadowoleniem, wsuwając do ust znaleziony w zagnieceniu bluzki kawałek sera.

Ruszyła wzdłuż odbijającego słońce stawu. Gęstą roślinnością poruszał lekki wiaterek, a szum wody mieszał się z trzepotem ptasich skrzydeł w drzewach. Ich trele brzmiały jak z nagrań do medytacji, a całość urozmaicały pojawiające się tu i ówdzie kolorowe kwiaty, wyciągające się w stronę słońca. Lubiła tu przychodzić, bo

w przeciwieństwie do polskich ogrodów botanicznych ten działał bardziej jak luksusowy park. Wejście było darmowe, a liczne ławki i stoliki gwarantowały spokój i odrobinę psychicznego wytchnienia.

Pachniało nagrzaną ziemią i charakterystycznym aromatem stojącej w miejscu wody. Nad liśćmi nenufarów latały muszki. W poprzednim życiu nagrałaby tutaj jakiś filmik i wrzuciła na stories, ale teraz przestała już myśleć, co warto pokazać obserwującym. Przystanąła na chwilę na jednym z drewnianych pomostów, by przyjrzeć się pływającym w stawie ogromnym rybom. Jedna z nich wynurzyła częściowo łeb, zgarniając mięsistymi wargami drobne roślinki z powierzchni wody. Marta zawsze uśmiechała się na ten widok, bo pysk ryby z jakiegoś względu przypominał jej pewien szczegół anatomii męskiego układu płciowego. Kiedyś nawet podzieliła się tą myślą z mężem, ale nie przyjął tego komplementu z entuzjazmem. Uśmiechnęła się z satysfakcją na wspomnienie pełnego wyrzutu spojrzenia Teodora i ruszyła dalej.

Na końcu piaszczystej alejki skręciła w stronę tropikarium. Przed wyjściem chciała jeszcze na chwilę zajrzeć do oczka wodnego z żółtiami, skoro to właśnie one sponzorowały jej dzisiejszą lekcję niderlandzkiego. Poza tym leniwe gady w pewien sposób pasowały do błęgiego nastroju, który towarzyszył jej tego dnia. Nie miałyby nic przeciwko, gdyby jej życie wyglądało podobnie. Brak akcji, proste przyjemności, decyzje do podjęcia dotyczyłyby tylko podstawowych kwestii.

Przed bramą znajdował się mały kranik z pitną wodą. Napiała się, łapiąc jednocześnie zsuwające się z czubka głowy okulary przeciwsłoneczne, i nacisnęła zielony guzik otwierający drzwi. Kiedy odwiedza to miejsce z dziećmi, guzik zawsze jest dobrym powodem do wyścigu, kto pierwszy go dosięgnie. Miała na swoim instagramowym koncie kilka tekstów o tej dziecięcej rywalizacji. Cieszyły się dużą liczbą lajków. Lubiła to uczucie, gdy jej wpisy komuś pomagały, ale teraz to nieważne. Musi skupić się na nowej roli.

W środku dość szybko uderzyły ją zapach mokrej ziemi i podmuch cieplejszego powietrza. Liście wielu gatunków roślin, które od lat próbowała bezskutecznie wyhodować w domu, poruszały się delikatnie, a w środku panowała cisza. Skrzydłokwiaty, fikusy i monstery o ogromnych liściach zdawały się zamykać za nią, gdy szła w głąb pomieszczenia. Myślała dalej o tym, jak dobrze jej w tym miejscu życia. Nie jest już sławną instamamą, ale cieszyła się, że ten etap jest już zamknięty.

Być może sprawiła to faza cyklu, kiedy łązy są trochę bliżej powierzchni oka, ale poczuła wielkie wzruszenie. W jej życiu nie mogłoby się już wydarzyć nic, co sprawiłoby, że chwile, które teraz przeżywa, byłyby piękniejsze. Złe już za nią. Zduśiła w sobie chęć zapisania w notatniku tych przemyśleń, jak to miała w zwyczaju, gdy chciała się nimi potem podzielić na Instagramie. Nawet gdyby miała świetną karierę, gdyby mniej jej strzykało w biodrze, gdyby mówiła w tym dziwnym języku, wcale nie byłoby lepiej. Już teraz jest doskonale i nic nie może tego zepsuć.

Może poza mężczyzną z długą siwą brodą, leżącym w sadzawce z żółwiami.

* * *

Marta znieruchomiała. Zatrzymała wzrok na falującej na powierzchni wody białej brodzie, która tworzyła fantazyjne wzory. Fala gorąca rozeszła się po jej ciele, a ścisk w brzuchu zatrzasnął swoją stalową obręcz. Uświadomiła sobie, że być może jest tu sama z martwym mężczyzną. Ocknęła się i z pełnym impetem wystartowała w stronę sadzawki. Impet i siła startowa były do tego stopnia duże, że w połączeniu z wilgotnymi kamieniami, na których stała, przyczyniły się do spektakularnego kłapięcia do wody. Szamocząc się z niewidzialnym przeciwnikiem, jakim jest grawitacja i właściwości powierzchni płaskich, Marta próbowała ponownie stanąć na nogi. Wspierając się o gałęzie i drewniane elementy ogrodu, podniosła się z ziemi. Kolano mocno ją szczypało, a z rozbitego łokcia ciekła krew. Klatka piersiowa poruszała się w rytm rozpaczliwie łapanych oddechów. Zielone ściany zdawały się napierać na nią swoim mokrym ciężarem. Cisza ciasno otaczała i zabierała powietrze.

Znowu spojrzała na mężczyznę i właśnie wtedy jej mózg przypomniał sobie wszystkie usłyszane w podcassach makabryczne szczegóły oraz to, że rozsądnym dla przetrwania może być krzyk. A skoro mózg wszedł już w swój niezmienny przez tysiąclecia tryb przedłużenia łańcucha ewolucji, zażądał od Marty natychmiastowej

ucieczki. W takim stanie z mózgiem się nie dyskutuje i kobieta dokonała w tył zwrot, rozrywając sobie bluzkę o ostre liście draceny. Wypadła z tropikarium i zaczęła biec słonecznymi alejkami. Ogród otwierał się przed nią, ukazując kolejne puste ścieżki. Bieg, który dobrze знаła i lubiła, pozwolił jej się na chwilę uspokoić. Do tego stopnia, by zaczęła trzeźwo myśleć. Dotarło do niej, że przecież mężczyźnie potrzebna może być pomoc i niekoniecznie jest tak martwy, na jakiego wygląda. Jak zwykle podjęła złą decyzję.

Akurat w tym momencie wbiegła do alejki prowadzącej do budynku z paprociami i natknęła się na pracownika ogrodu botanicznego. Kółko taczki z brunatną ziemią skrzypiało lekko, gdy mężczyzna z wyraźnym wysiłkiem prowadził ją przed sobą. Był jej dobrze znany z widzenia, bo odwiedzając to miejsce co tydzień, rozpoznawała już jego pracowników. Widok mężczyzny bardzo ją ucieszył, dopadła zatem do niego, śmiejąc się z ulgi. Ten jednak cofnął się o dwa kroki, wykorzystując taczkę jako barierę.

Jednocześnie Marta uświadomiła sobie dwie rzeczy.

Po pierwsze, że mężczyzna w wodzie to też znany jej pracownik ogrodu, a po drugie, że może, do jasnej cholery, wykorzystać zdobytą w bólu i pocie wiedzę językową. Stanęła prosto i podnosząc dumnie głowę, powiedziała do mężczyzny:

– *Ik spreek geen Nederlands. Schilpaden! Schilpaden kapot, kom!*¹

¹ *Ik spreek geen Nederlands. Schilpaden! Schilpaden kapot, kom!* (nl) – Nie mówię po niderlandzku! Żółwie! Żółwie zepsute, chodź!

Po czym wiedziona człowieczym odruchem, ruszyła z powrotem w stronę tropikarium, by nieść może jeszcze niespóźnioną pomoc.

* * *

Luc, który od trzydziestu lat pracował w ogrodzie botanicznym i bardzo cenił sobie leniwe dni, kiedy mógł spokojnie poświęcić się grzebaniu w ziemi, sadzeniu i doglądaniu roślin, był w kropce. I choć przyroda przez te wszystkie lata nie raz zaskoczyła go, pokazując swoje nieoczywiste oblicze, teraz sam nie wiedział, co zrobić. Kobieta, którą dobrze kojarzył z widzenia ze względu na zaskakujące u młodej przecież osoby siwe włosy, zachowywała się zdecydowanie inaczej niż zwykle. Zazwyczaj spacerowała sama lub z rodziną, rozmawiając z nimi tym swoim szeleszczącym językiem.

Przed chwilą jednak stanęła przed nim cała zdyszana, w mokrych szortach i podartej bluzce. Najpierw się do niego uśmiechnęła, potem zrobiła coś dziwnego z ciałem i zaczęła wydawać jakieś dźwięki, z których udało mu się wychwycić tylko coś o żółwiach. Następnie machając rękami, odwróciła się i odbiegła, dość niezgrabnie, bo i sandały miała mokre.

Luc podrapał się po czole, nie wiedząc, co teraz zrobić. Czy ta kobieta powiedziała, że któryś z żółwi jest zepsuty, i stwierdziwszy, że gad potrzebuje pomocy, próbowała go ratować? I stąd mokre ubrania? Mężczyzna westchnął, uświadomił sobie, że cały czas trzyma w rękach ciężką

tackę, i odstawił ją na bok. Grudki ziemi rozsypały się dookoła. Nadal niepewny i zadziwiony tym, co właśnie zobaczył, pomału ruszył w stronę tej części ogrodu, w której swój basen miały żółwie.

* * *

Marta zdążyła już wrócić do tropikarium i tym razem bez przeszkód dobiegła do oczka wodnego. Jej kondycja była przyzwoita, mimo to potrzebowała chwili, by złapać oddech i pochylić się nad ciałem. Tak jak zobaczyła to wcześniej, głowa i znaczna część tułowia rosnącego mężczyzny znajdowały się w wodzie. Z bliska jednak widać było, że twarz, a zwłaszcza nie tak mały nos, wystawała ponad powierzchnię wody. Usta częściowo przykryte były przez gałęzie, które blokowały dopływ wody.

W momencie, w którym Marta uświadomiła sobie, że rosły trup być może wcale nim nie jest, jeden z żółwi wreszcie wspiął się na wyspę z kamieni, spychając z niej swojego towarzysza, a ten, spadając, poruszył kolejne kamienie. Żółwie przepychanki sprawiły, że niedoszły topielec postanowił jednak odegrać rolę do końca, osuwając się delikatnie w głąb wody. Teraz twarz była już zupełnie zanurzona i nawet jeśli wcześniej mężczyzna żył, pozostanie w tym stanie nie wróżyło dalszego sukcesu w kwestii zachowania funkcji życiowych.

To otrzeźwiło Martę. Sama mierzyła sto sześćdziesiąt pięć centymetrów, a zatem jej możliwości manewru były

dość ograniczone. Priorytetem było wyjęcie głowy spod wody, co natychmiast uczyniła, wchodząc do płytkiej sadzawki. Jednocześnie trzymając głowę mężczyzny, próbowała przepychać nieruchome ciało bliżej wyłożonego kamieniami brzegu oczka. Obecność drewnianego płotka i żółwi nie pomagała. Miała tylko nadzieję, że jej wysiłki nie zrobią obojętnym na jej zmagania gadom krzywdy. Długa broda oblepiła jej ręce, pozostawiając niemiłe wrażenie kontaktu z czymś obślizgłym. W końcu udało jej się wyciągnąć tułów pracownika ogrodu na brzeg. Już w trakcie podnoszenia ciała zauważyła, że ten nie oddycha, ale nie przestała tracić nadziei, że coś może zrobić. Poza tym przez ułamek sekundy przebiła jej się do świadomości myśl, że może w Belgii pójdzie do więzienia, jeśli nie przeprowadzi resuscytacji trupa, a to nie mogło się wydarzyć. Czeka ją tylko spokojne życie, zero wyzwań.

Napędzana adrenaliną wzięła głęboki oddech i zaczęła śpiewać przebój Bee Gees *Stayin' Alive*. Pamiętała, że to ten utwór nadaje idealny rytm uciskom klatki piersiowej. Po trzydziestym uciśnięciu, teraz już płacząc z emocji, pochyliła się, by przekazać mężczyźnie życiodajny oddech.

* * *

Właśnie w tym momencie do budynku dotarł Luc. Tropikalne liście o różnych kształtach i fakturach ruszały się nienaturalnie, a między nimi migąła postać nieznanego kobiety. Słyszał było jej rytmiczne stękanie i sapanie

wymieszane z jakąś melodią, którą Luc kojarzył, ale nie mógł przypomnieć sobie nazwy utworu. Ta szamotanina nie uspokajała, więc stawiając ostrożnie i cicho kroki, ruszył bezpośrednio do legowiska żółwi. Zatrzymał się kilka kroków przed płytką sadzawką, a jego szczęka opadła bezwiednie.

W na poły zanurzonej w płytkiej wodzie, na poły leżącym na rozgniecionych roślinach mężczyźni rozpoznał swojego kolegę Marca. Nad nim pochylała się nieznajoma, przysłonięta częściowo przez gąszcz skrzydłokwiatów, których białe kwiaty w tym roku rozkwitły wyjątkowo bujnie. Dookoła nóg Marca pływało kilka żółwi, reszta trwała w swoich nieruchomych pozach na kamiennej wyspie. Czyżby przylapał parę w niedwuznacznej sytuacji? Poczzerwieniał na całej twarzy, był bowiem mężczyzną raczej skromnym i nienawykłym do oglądania współpracowników w intymnych chwilach. Nikogo zresztą nie nawykł oglądać, bo zarówno on, jak i jego żona oddawali się małżeńskim obowiązkom raczej przy zgaszonym świetle. Chciał się wycofać, obiecując sobie, że porozmawia z kumplem, bo jednak pewnych rzeczy w pracy robić nie wypada, tym bardziej że kobieta miała męża i małe dzieci.

Tak się po prostu nie robi.

Na przyszłość będzie się też trzymał raczej mniej uczęszczanych zakątków ogrodu, żeby nie natknąć się na tę szaloną Ukrainkę, Rosjankę lub Polkę. Luc wiedział, że nie powinien tak myśleć, bo teraz kobiety mogą zażywać przyjemności seksualnej, jak sobie życzą, ale widać to

jednak prawda, co mówią o rozwiązłości mieszkanek Europy Wschodniej.

Wtedy jednak kobieta wyprostowała się, szybkim ruchem odgarnęła te swoje mlecze włosy i ponownie się pochylając, zaczęła uciskać Marcowi klatkę piersiową, wkładając w to sporo siły.

I nagle Luc zrozumiał, co próbowała przekazać mu kobieta i co właśnie robi. Rumieniec na jego twarzy spęzł niżej, na szyję. Wstyd, który go ogarnął, mieszał się z przerażeniem, ponieważ każda sekunda jego kosmatych myśli opóźniała pomoc dla Marca. Rzucił się w stronę pary, jednocześnie wyciągając z kieszeni telefon.

* * *

Marta siedziała na ławce pod wielką wiśnią japońską. Słońce ogrzewało jej mokre ubrania i trzęsące się ręce ułożone na udach. Odmówiła pomocy, której chciała jej udzielić załoga karetki. Wciąż jeszcze ciężko oddychała, mimo że minęła już dłuższa chwila, odkąd ratownicy wynieśli na noszach nieprzytomnego, ale żywego trupa z wody. Wspólne działania przyniosły nieoczekiwany efekt. Podczas gdy ona uciskała klatkę piersiową, mężczyzna, którego wcześniej prosiła o pomoc, gdzieś pobiegł i po chwili wrócił z przenośnym defibrylatorem. Jak przez mgłę pamięta plątaninę kabli i przylepce na piersi nieprzytomnego mężczyzny. Wstrząsnął nią dreszcz na wspomnienie ciała rażonego prądem. AED zrobiło swoją

robotę i z niedowierzaniem oboje patrzyli, jak siwobrody łapie pierwszy oddech. Co działo się potem, pozostanie dla Marty tajemnicą, bo z emocji i szoku przestała już ogarniać rzeczywistość. Pojawili się inni pracownicy, a wkrótce także karetka. Widziała siebie, jak stoi pośrodku tego chaosu, w którym każdy biegał i robił jakieś ważne rzeczy. W końcu ktoś podszedł i do niej, po czym oddał jej porzuconą torbę i telefon. Naprawdę myślała, że tamten mężczyzna nie żyje. Gdyby zwlekała jeszcze dłużej, być może tak właśnie by się stało. Dlaczego taka jest? Zawsze coś nie tak.

NOWE ŻYCIE, NOWY KRAJ, STARE KŁOPOTY...

Marta Kuleczka miała prosty plan: wyjechać do Belgii, zacząć od nowa i nareszcie złapać oddech. Jednak rzeczywistość szybko rzuca jej pod nogi martwego znajomego i stertę problemów, których nie sposób upchnąć do żadnej walizki. Gdy policja zaczyna przyglądać się jej rodzinie – a zwłaszcza mężowi – Marta, wspierana przez zdystansowaną sąsiadkę i nieco zbyt pewną siebie szwagierkę, postanawia wziąć sprawy w swoje ręce.

Tropy prowadzą przez szemrane budowy, żydowskie zakamarki Antwerpii i miejsca, które tylko z pozoru wydają się niewinne. Z każdym dniem Marta odkrywa, że choć emigracja miała być ucieczką od chaosu, to właśnie w nim odnajduje odwagę, o jaką nigdy siebie nie podejrzewała.

Czy uda jej się odnaleźć spokój, gdy wszystko inne wymyka się spod kontroli?

cena 47,90 zł

FILIA

ISBN 978-83-8402-418-8



9 788384 024188